http://dx.doi.org/10.18778/7969-027-5.10

Alicja Mazan
-Mazurkiewicz
Uniwersytet Łódzki

„Bo ja tak bardzo nie przepadam za czytaniem"

O czytaniu z dzieckiem w domu pełnym książek

– A może byś kupił atlas – powiedział Ananiasz, który jest najlepszym uczniem w klasie i ulubieńcem naszej pani. – Są tam przepiękne mapy, pouczające zdjęcia i to się bardzo przydaje.
– Chyba nie myślisz – powiedziałem – że wydam pieniądze na książkę
(Goscinny R. i Sempé J. J., 2004, s. 25).

W znanym cyklu o Mikołajku główny bohater i jego przyjaciele niejeden raz ujawniają podobny pogląd. Czytam starszej córce i śmiejemy się obie. Ale w duchu się zastanawiam, czy dla Zuzi powód śmiechu jest równie oczywisty, jak dla mnie.

Dostosowana do wieku i zainteresowań dziecka, wartościowa literacko i estetycznie wydana książka to doskonały prezent; czyż można zaprzeczyć? A jednak... życie upomina się o wyjątki. *Dawać waszym dzieciom książki to jak wozić lód na Syberię* – zauważyła trzeźwo któraś z cioć. Metafora w jednym aspekcie nadzwyczaj trafna, w innych, mam nadzieję, że niezupełnie; że dwie dziewczynki, dziewięcioletnia Zuza i czteroletnia Kornelka nie pragną, by syberyjskie lody puściły...

Jak żyje się dzieciom w domu, którego specyfika nierzadko wprawia w zdumienie ich rówieśników? (Choć staramy się ją ukrywać w zamkniętych szafach – bynajmniej nie ze względu na reakcje postronnych; po prostu, aby nie stały się siedliskiem kurzu). Jak się żyje

z rodzicami – literaturoznawcami, zatem „książkoholikami" i z zawodu i z pasji (nierozdzielnych zresztą i co istotne, znoszących podział na sferę domu i pracy)?

Naturalnie, łatwo wskazać plusy sytuacji osoby, która przyszła na świat na jednej z tętniących życiem planet galaktyki Gutenberga. W zasadzie nie zaistnieje etap, który Joanna Papuzińska charakteryzuje następująco: *Małe dziecko z reguły traktuje książkę w oderwaniu od jej właściwych funkcji, tj. jako przedmiot stwarzający pewne możliwości manipulacyjne (gniecenie i darcie kartek, stukanie książką o inne przedmioty, wywoływanie hałasu), a nie jako przedmiot niosący znaczenie* (1988, s. 11).

Być może powodem przeskoczenia tego etapu jest właśnie fakt, że książek w domu jest tak dużo i że są one na wierzchu; nie trzeba się do nich specjalnie „dobierać", jak choćby do garnków w kuchennej szafce. Inna sprawa, że w kwestii efektów akustycznych książka nie wytrzymuje konkurencji z kuchennymi akcesoriami, a plastelina, ciastolina, sznurki czy klocki dostarczają o wiele więcej frajdy w dziedzinie manipulacyjnej. Książka, owszem, ona też, ale będzie to przyjemność specyficzna, związana ściśle z właściwą jej fizyczną naturą; pamiętam, jaką satysfakcję sprawiało rocznej Zuzi samodzielne odwracanie kartek. Jakiś czas temu tej trudnej sztuki uczył się pluszowy kotek Neli, choć jego łapki są mniej sprawne niż dziecięce paluszki. Obecnie Zuzanka lubi wąchać książki, zwłaszcza te starsze; przyjemność to niestety zapewne zanikająca ze względu na coraz częstsze u dzieci alergie.

Trzeba przyznać, że książka inicjuje zabawy pozasłowne, choć trudno uznać, że asemantyczne. Przede wszystkim ilustracje i w ogóle strona graficzna mogą dostarczać wiele radości. *Piosenkę stworzonka* z tomiku Zofii Beszczyńskiej *Z górki na pazurki* (Poznań, 2005), obwieszcza radość wyrażającą się w tańcu i śpiewie, a obie dziewczynki tańczą palcami po spirali utworzonej ze słów składających się na ową piosenkę. Nela, miłośniczka wysokich zjeżdżalni, z zachwytem zjeżdża paluszkiem po wygiętej szyi dinozaura na jednej ze stronic *Wesołego Ryjka* Wojciecha Widłaka (Poznań, 2010). A gdy uda się wypatrzeć na ilustracji krokodyla lub inna uzębioną paszczę (a zdarza się to dość czę-

sto w książkach dla najmłodszych), jakże ekscytujące jest sprawdzanie, czy kły są naprawdę ostre!

Jednocześnie zaś dziecku „dziedzicznie obciążonemu” niestraszna będzie książka bez ilustracji lub z czarnobiałą grafiką, książka gruba (przez licealistów cegłą zwana), książka w dużym formacie, książka ciężka, książka oprawiona w płótno, na szarym lub pożółkłym papierze[1]. Żadnej z nich nie uzna za „wadliwą”, podejrzaną; nie spisze ich z góry na straty. Nie zamknie sobie drogi do odkryć i wzruszeń czytelniczych mniej oczywistych niż te, które oferuje współczesny rynek, a zwłaszcza *mainstream* w dziedzinie książki dziecięcej.

Zuzia parę lat temu, a niedawno Nela, zawarły znajomość z bohaterami wydanej w niszowym oficynie książki *Łazik i Klara*. Łazik to pies – *prawdziwy, rudy i śmieszny* (Groch E. J., 2006, s. 7). Klara zaś to dziewczynka, o której wyglądzie nie ma ani słowa... Z ilustracji wychyla się jednak prawdziwy „Kopciuszek”, narysowany brązową kreską (łącznie z ustami), w burej sukience, z wielką głową ostrzyżoną niemal na łyso. Wszystkie ilustracje zanurzone są w brązach, beżach, rudościach, oliwkowych zieleniach, którym towarzyszą nieśmiałe przebłyski innych barw, zgaszonych, przybrudzonych. Przygnębiające? Ależ nie. Tajemnicze, delikatnie odrealnione, odrobinę melancholijne, a jednak pulsujące serdecznym ciepłem – podobnie jak sama opowiastka. Jak najbardziej do przyjęcia przez dziecko; pod warunkiem, że wcześniej rodzice nie wystraszą się tej dość nietypowej z wyglądu książki.

Na długo przed etapem szkolnej edukacji dziecko z domu pełnego książek przyswoi sobie spory zakres pojęć, związanych zarówno z książką jako przedmiotem fizycznym, jak z literaturą. Pojawią się one w

[1] Moi studenci (kierunek: informacja naukowa i bibliotekoznawstwo) na zajęciach dzielą się wspomnieniami inicjacji literackich; w ich relacjach pojawia się temat oporu, nieufności wobec lektur, których wygląd zewnętrzny odbiegał od typowej „książki dziecięcej”. Bibliotekarka ze szkoły, do której chodzi nasza starsza córka, pani mgr Monika Linke, zaświadcza, że odwiedzające bibliotekę dzieci *lubią nowe książki, niekoniecznie nowości, ale niedawno wydane w ładnych, kolorowych okładkach. Starych, zniszczonych książek nie zauważają, nawet tych „najmądrzejszych”* <http://lodz.gazeta.pl/lodz/1,35153,11424893,Dzieci_pytaja_w_bibliotece_o_ksiazki__i_co_slysza_.html#ixzz1yK1EGkpz>. Data dostępu 20 maja 2012.

sposób naturalny, dyktowany ciekawością poznawczą, nie jako narzucony schemat. Mała czytelniczka z namaszczeniem zdejmie z książki obwolutę (cóż za efektowne słowo!), by jej nie pognieść, uśmieje się ze stopki redakcyjnej. Nawet jeśli nie będzie to stopka w cyklu baśni firmowanym przez miesięcznik „Dziecko"[2].

Oczywistością będzie fakt, że za książką, fabułą, bohaterami stoi ktoś jeszcze – autor (nawet jeśli przypadkiem na autora *Pani Twardowskiej* awansuje Adam Małysz). Zdarzy się też, że autor przysporzy małej czytelniczce żywych wzruszeń także swoją osobą... Autor, którego można dotknąć, dostać od niego autograf albo wysłać doń liścik. Bowiem, o ile wobec dorosłej publiczności, niczym w wierszu Wisławy Szymborskiej *Wieczór autorski*, nierzadko wypadnie westchnąć: *Muzo, nie być bokserem to jest nie być wcale* (2005, s. 92), to autor książki dziecięcej nie musi zazdrościć ani bokserowi, ani Małyszowi; bywa szczerze podziwiany i kochany.

Dziecko to uchwyci specyfikę fikcji literackiej bez pomocy Ingardenowskich quasi-sądów czy innych teorii. Oto, po prostu: zaduma się nad faktem, że Julek i Julka, przesympatyczna para przyjaciół z cyklu autorstwa Annie Schmidt, urodzili się przeszło pół wieku temu jako psotne pięciolatki, a teraz mają wciąż po pięć lat. (W przeciwieństwie do innych znajomych z wczesnego dzieciństwa: tych, których buzie uśmiechają się ze stron miesięcznika „Dziecko" i dla których data narodzin umieszczona pod fotografią wyznacza nieubłagany upływ lat...)

Lekturze towarzyszyć będzie tropienie narratora – takiego, który „tylko" opowiada, lub takiego, o którym wiadomo coś więcej, gdyż jest zarazem bohaterem literackim. Może on nawet nieco się skrywać, jak w *Naszej mamie czarodziejce* Joanny Papuzińskiej, gdzie narrator opowiada niejako w imieniu trzech sympatycznych braci: *Tam, gdzie byliśmy na wakacjach, rosła w polu samotna, rozłożysta sosna. Lubi-*

[2] *Kolekcja Dziecka*, Agora SA, Warszawa 2006. Kolekcja zawiera 20 książeczek z audiobookami. Stopce redakcyjnej na stronie przedtytułowej towarzyszy zawsze element ilustracyjny: „stopka", która bywa obuta w trzewik lub pantofelek, ale może też być np. raciczką świnki (w *Trzech świnkach*), błoniastą łapą łabędziątka (*Brzydkie kaczątko*) lub żaby (*Żabi Król*).

liśmy siedzieć w cieniu tej sosny i słuchać, jak mama nam czyta (2011, s. 24). Skoro jednak co i rusz słyszymy o tym, że „nasz najstarszy brat” zrobił coś lub powiedział – i tak samo narrator mówi też o „naszym najmłodszym bracie” – zatem niewątpliwie narratorem jest średni brat. I jakkolwiek skromne byłoby to odkrycie, przynosi ono dziecku wiele satysfakcji.

W równie bezbolesny sposób pojawi się wiedza dotycząca konwencji gatunkowych. Choć, nie da się zaprzeczyć – nie tyle w odniesieniu do gatunków wysokich, np. poetyckich (będących domeną mamy), co literatury popularnej (obiektu badań taty). Komiks doczeka się domowych realizacji, z bardzo swojskimi bohaterami: ich wypowiedzi w dymkach to „hau” lub „miau”, a myśli, też naturalnie w dymkach, mają kształt ryby lub żółtego sera. Interesujące bywają eksperymenty graficzne. Np. litery w dłuższej wypowiedzi zapisane są jak w lustrze: po to, by podkreślić, że postać z prawej strony komiksowego kadru mówi do tej, która znajduje się po lewej stronie (tata twierdzi, że córka nie zaczerpnęła tego pomysłu z dostępnych w domu komiksów).

Warto dodać, że również dla rodziców – literaturoznawców, parających się dydaktyką uniwersytecką, rola pośrednika dziecięcej lektury może przynieść zawodową korzyść. Na zajęciach ze studentami nierzadko przywołuję obserwacje lekturowe Zuzi (podobnie jak własne, zapamiętane z dzieciństwa); pomagają mi one w zobrazowaniu rozmaitych problemów, choćby właśnie związanych z konwencjami literackimi.

Przykładowo – Zuzanka jest w stosunku do baśni równie bezwzględną realistką jak niegdyś ja. Jako mała dziewczynka zżymałam się na Kopciuszka, że „brak mu pomyślunku”, bo do rozdzielania maku od popiołu nie użył sitka. W *Karolci* Marii Krüger ośrodkiem fabuły jest niebieski koralik, który spełnia życzenia; wprowadza on do świata przedstawionego element baśniowej cudowności. Z czasem intensywny błękit koralika blednie, to znak, że ubywa mu mocy. Naturalnie, koralik mógłby mieć, wzorem licznych przodków, czarodziejskich przedmiotów, siły niespożyte; zanikanie jego magii ma w powieści aspekt dydaktyczny. Bohaterka, dziewięcioletnia Karolcia, staje się rozważniejsza, zaczyna się zastanawiać nad wartością kolejnych ży-

czeń. Wreszcie pozostaje do spełnienia ostatnie życzenie – o cóż zatem poprosić koralik, by nie żałować pochopnej decyzji? Autorka stosuje retardację, niejako pozwala czytelnikowi dorosnąć, zastanowić się wraz z bohaterką.

Jak z tej szansy skorzystała Zuzanka? Nieoczekiwanie „rozłożyła na łopatki" cały dydaktyzm. Z pewną wyższością (w stosunku do Karolci) oznajmiła mi, że ona zażyczyłaby sobie, by koralik stał się znów tak błękitny jak na początku... (w domyśle: równie potężny w działaniu). Ten epizod jest dla mnie świetną ilustracją postawy czytelnika, który wyłamuje się z narzuconej mu przez utwór literacki konwencji. W tym przypadku Zuzia zastosowała – w odniesieniu do realiów rodem z baśni – zdroworozsądkowy pragmatyzm, niwecząc założoną przez autorkę motywację świata przedstawionego.

W domu pełnym książek silny wpływ lektur naznaczy sferę prywatności. Choćby domowy idiolekt, niezrozumiały dla niewtajemniczonych, sprzyjający budowaniu więzi. Zuzia, słysząc niewygodne dla siebie polecenie, zaczyna pojękiwać „ale, ale, ale...", a jej mama odpowiada: „Ale my mówimy jednym głosem. Gdy rodzice mówią jednym głosem, dziecko nie ma szans". Cóż dziecko na tak bezduszne, kategoryczne stwierdzenie? Dziecko przyjmuje to z pełnym humoru zrozumieniem – wszak rozpoznaje parafrazę cytatu z ulubionych *Czytanek dla Aleksandra* autorstwa Marcina Osikowicza[3]. Innym razem Zuzanka zapowiada: „Zamorduję, ożywię, a potem zamorduję jeszcze raz!". Zatrważająca deklaracja, a jednak rodzice nie truchleją; tym razem to oni rozpoznają cytat z *Kacpra z szuflady* Grzegorza Kasdepke (2009, s. 69). Cóż, można terapeutycznie walić rękami w poduszkę, a można też dawać upust gwałtownym emocjom w bardziej wyszukany, literacki sposób.

[3] – *Ale, ale, ale, ale, ale, ale – próbował przerwać Olo.*

– *Ale co? – zapytali rodzice jednym głosem. (Kiedy rodzice mówią jednym głosem, dziecko nie ma szans).*

– *Ale ja nie umiem – pożalił się Olo.* (M. Osikowicz, 2009, s. 47). Wyzwanie, przed którym rodzice postawili Ola (wkrótce pierwszoklasistę), było zaiste okrutne: dziesięć minut samodzielnej zabawy we własnym pokoju..

Wydaje się zatem, że powinno być sielsko, jak w świecie Borejków, wykreowanym przez Małgorzatę Musierowicz:

> *O godzinie jedenastej wieczorem Ignaś jeszcze nie spał, ale Gabrysia pozwoliła mu na ten wyskok, bo przecież jutro wszyscy poleniuchują. Dobrze mu było z rodzicami, w ich szerokim, wygodnym łóżku! Leżał sobie tak, jak lubił, pomiędzy nimi, dwie duże poduszki podpierały mu plecy, a on w skupieniu wodził paluszkiem po literach; po lewej ręce miał tatę, który, w podobnej pozie, tak samo marszcząc brwi i przygryzając wargę, przeglądał jakąś abrakadabrę o komputerach. Czytali sobie we troje, wygodnie i cieplutko, w zupełnej ciszy* (Musierowicz M., 1998, s. 106).

„Wiesz, ja tak bardzo nie przepadam za czytaniem” – oznajmiła siedmioletnia wówczas Zuzia po wysłuchaniu tego fragmentu. Trafiła celnie, rozpoznając „miękką indoktrynację” matczyną i dyplomatycznie, acz stanowczo, reagując...

Z pewnością bowiem ktoś podobny do małoletniego Ignacego Grzegorza Stryby czułby się komfortowo z takimi rodzicami jak my. A my moglibyśmy bez umiaru przelewać nań swoje pasje. Może jednak opór materii – a raczej żywej rzeczywistości – ma swoją wartość? Może nieoczywistość, trudności, wątpliwości, towarzyszące wprowadzaniu własnych dzieci w świat literatury – mogą okazać się cenne?

Niewątpliwie książce w naszym domu nie towarzyszy aura odświętności. Książki kupuje się tak, jak mleko czy owoce. Dlatego faktycznie, dość trudno wyobrazić ją sobie jako prezent. Choć może należałoby to ująć inaczej... *Differentia specifica* książki sama w sobie nie budzi skojarzeń z prezentem. Ale jeśli jest to z trudem upolowany, brakujący do kompletu *Julka i Julki* lub piąty, wyczekiwany tom *Pana Kuleczki*, sprawa przedstawia się inaczej. Z tym, że takie prezenty są raczej bez okazji. Owszem, można z nimi czekać na sprzyjający moment, ale zbyt długa zwłoka niosłaby ryzyko – wszak z książek się wyrasta.

Chyba najbardziej wyrazista, łatwa do uchwycenia trudność, z jaką zetknęłam się jako czytająca mama, była czysto techniczna. Doświadczenie to sprawia, że z dużym krytycyzmem spoglądam na

reklamy społeczne, zachęcające do czytania (choć naturalnie, nie neguję samej idei tychże reklam). Kreują one sytuację modelową, znaną także z przedstawień ilustracyjnych: dorosły pośrednik lektury czyta, niczym nie rozpraszany, małoletni słuchacze siedzą w skupieniu i ciszy.

Tymczasem... przez kilka lat wieczorne czytanie (trwające dłużej lub krócej, lecz stanowiące nieodzowny rytuał) kojarzyło mi się z następującą scenerią: Zuzanka na wielkim tapczanie kica, tańczy, robi fikołki; ja zaś nie wiem, w którym momencie dziecko dosłownie wpadnie na mnie i na książkę...

Nasuwała się wątpliwość, czy w tych warunkach ktoś może naprawdę słuchać. Zaczęłam to sprawdzać, zmieniając słowa w tekstach. Odwoływałam się do pamięci córki (gdyż teksty były czytane wielokrotnie, zatem dobrze jej znane), ale też do zdrowego rozsądku: często wprowadzałam zmiany leksykalne, których efektem był absurd. Okazało się to wspaniałą zabawą i przez długi czas towarzyszyły nam naprzemiennie (w ciągu tego samego seansu lekturowego) dwa modele czytania: ze zmianami i bez zmian. Zuzia nadal kicała, skakała, tańczyła, stawała na głowie – jednocześnie błyskawicznie reagując na zmiany tekstu; wprowadzała mnie w podziw (przemieszany z odrobiną zazdrości) swoją podzielną uwagą. Jednak z ulgą przyjęłam zamknięcie tego etapu.

Zdaję sobie sprawę, że tak duża aktywność fizyczna towarzysząca lekturze nie stanowi normy – nie bez powodu maleńka rozmiarami Zuzia zyskała w przedszkolu przydomek „wielkie ADHD". Jednak na absolutne wyciszenie dziecka, które „nie będzie przeszkadzać" w głośnym czytaniu, nie należy liczyć. I raczej nie warto. Lektura w towarzystwie dorosłego pośrednika stwarza wszak doskonałe warunki dla wzmożonej ruchliwości – umysłu.

Niekiedy tego rodzaju dziecięca aktywność bywa i dla mnie inspirująca poznawczo. Choćby wtedy, gdy drukowane ścieżki okazują się, jak to ujmuje Papuzińska w sugestywnej metaforze, *wyboiste i najeżone przeszkodami. Brukowane kocimi łbami trudnych słów* (2001, s. 6). Pamiętam, jak wiele czasu – w stosunku do skromnych rozmiarów tekstu – zajęła nam *Igła do cerowania* Andersena. Co i rusz następował przy-

stanek, wyznaczony pytaniem – uzmysławiając mi, ile realiów poszło w zapomnienie. *Znałem raz igłę do cerowania, która była tak dumna, iż wyobraziła sobie, że jest igłą do szycia* (Andersen H. Ch., 1977, t.1, s. 189). Już przy tym zdaniu, inicjującym opowieść, tłumaczyłam Zuzi, czym różni się cerowanie od szycia. Potem pojawił się lak, którym igłę sklejono i rynsztok, w którym wylądowała (dla mnie element krajobrazu dzieciństwa w starej dzielnicy Łodzi).

Bywa jednak i tak, że aktywność dziecka wędruje w kierunku, który „normalną” (z punktu widzenia dorosłego) lekturę utrudnia czy wręcz uniemożliwia. Choćby wtedy, gdy dla dziecka najistotniejszy staje się wygląd wyrazów. Narracja urywa się w nieprzewidzianej chwili, ustępując miejsca poszukiwaniu „kota”, „Julka” itp. Świat literackiej kreacji musi wycofać się w cień, a wraz z nim osobowość mamy, owego świata poplecznicz ki – ustępując miejsca światowi samych liter.

Książka ma dwa ogniska: umysł jej autora i umysł czytelnika (1967, s. 312) – pisze Henry Bars. W przypadku lektury z udziałem dorosłego pośrednika, umysły są co najmniej trzy. Następuje ich spotkanie, mniej lub bardziej harmonijne.

Papuzińska, charakteryzując specyfikę dziecięcego kontaktu z książką, wskazuje na brak lub znikomą obecność cech swoistych dla dojrzałego z nią obcowania: intymności lektury, swobody interpretacyjnej, plastyczności i elastyczności w stosunku do potrzeb odbiorcy (tempo lektury, wybór taktyki czytania, pozwalający naruszać układ konstrukcyjny dzieła); procesem lektury we wszystkich tych aspektach w znacznym stopniu steruje dorosły pośrednik (1988, s. 15-19).

Z własnego doświadczenia mogę jednak dopowiedzieć, że im większe kompetencje ma ów pośrednik jako samodzielny czytelnik, im głębsze jest jego zrozumienie wielorakiego piękna świata książek, ogromu i zróżnicowania tkwiących w nim możliwości – tym większą przestrzeń wolności może on zaoferować dziecku.

Sprawa podstawowa: kto wybiera lekturę? Z jakże osobistym zrozumieniem czytam wyznanie innej mamy zawodowo związanej ze światem książek, Marii Deskur, jednej z założycielek wydawnictwa „Muchomor”:

> *Hańcia chciałaby po raz nie wiadomo który posłuchać „Historyjki o Alicji, która zawsze wpadała w kłopoty...", a ja marzę o tym, by przeczytać kolejny rozdział „Cyrku Doktora Dolittle", po części dlatego, że szalenie mnie wciągnął – nic nie pamiętam z dzieciństwa, a po części – mimo, że nie chcę się do tego przyznać sama przed sobą – dlatego, że koleżanka Hańci z przedszkola przeczytała już wszystkie tomy „Doktora Dolittle". I weź tu się dogadaj. Lawiruję, jak mogę, przypominam im najbarwniej, jak potrafię, ostatni rozdział Doktora i... czytam kolejny rozdział „Pana Kuleczki" i jedną z „Historyjek o Alicji. Doktor Dolittle „nie zostanie narzędziem zaspokojenia moich przyziemnych ambicji. Nic na siłę* (2004, s. 170).

Czy mogłabym z ręką na sercu stwierdzić, że jestem najzupełniej wolna od przyziemnych rodzicielskich ambicji? Zapewne nie, choć własne, najbardziej autentyczne powody zachęcania córek do „płodozmianu" – wobec znanej zapewne większości rodziców skłonności do powtórek – zdefiniowałabym inaczej. Przede wszystkim – to świadomość przebogatego świata, który czeka w uśpieniu.

Wkrótce przekonasz się, że nie tylko pani Agata pisze historie zapierające dech, ale i pan Homer, pan Szekspir, pan Dostojewski i jeszcze paru innych panów (2000, s. 55) – perswadowała niegdyś na łamach „Życia Literackiego" młodocianemu miłośnikowi opowieści kryminalnych Wisława Szymborska. W relacji najbliższej, rodzinnej, pragnienie, by o tym skutecznie powiadomić, by dziecku odsłonić – no, nie Dostojewskiego na razie, ale Andersena, Tove Jansson, C. S. Lewisa, Makuszyńskiego, Twardowskiego, Kulmową... – jest o ileż mocniejsze.

A jednak to dziecko wybiera, chociaż naturalnie, spośród udostępnionych przez dorosłego propozycji. W domu zawodowo naznaczonym literaturą wybór jest spory. Nie mam na myśli trudnej do przeliczenia zawartości szaf... to nie ma dla dzieci większego znaczenia. Udostępnione propozycje to te, które dla dziecka ożyły dzięki rękom i głosowi mamy lub taty, co do których dziecko dostało szansę (naturalnie, córki same również zaglądają do szaf, ale najczęściej w poszukiwaniu książek już im znanych, a odłożonych na półkę). Statystycznie rzecz biorąc większość tych szans została odrzucona (po rozpoznaniu trwającym

minutę, dwie, dziesięć, czasem nawet pół godziny), niektóre tylko przyjęte. Propozycji pojawiło się zaś na tyle dużo, że naprawdę nie sądzę, aby realny wybór dziecka był mniejszy niż dorosłego, który w bibliotece czy księgarni nie przegląda wszak całej oferty, lecz dział, który go interesuje – znajdując w nim kilkanaście czy kilkadziesiąt pozycji.

Naturalnie wstępny wybór – książki, której da się ową szansę – należy do nas, rodziców; w tym sensie można powiedzieć, że wybór dziecięcy jest zawsze zgodny z moim. Ale książki przez córki odrzucone? To także książki z mojego punktu widzenia wartościowe – innych bym nie proponowała. Oczywiście, próby bywają ponawiane, lub starsza córka sama decyduje się zajrzeć do książki dotąd odrzucanej.

Efektem takiego stylu składania ofert czytelniczych jest między innymi to, że kolejność lektur niekoniecznie zgadza się z moją oceną dotyczącą ich „poziomu zaawansowania”. Cykl Wojciecha Widłaka o Panu Kuleczce[4], jakkolwiek zalecany (w pełni zasadnie) przez wydawcę od wieku 3 lat, należy do lektur, które mogą „rosnąć” wraz z czytelnikiem, odsłaniając nowe sensy: ujęcia słowne, niczym w najlepszej poezji, świeże i zarazem od razu przyjmowane jako oczywiste, grę językową, niuanse psychologiczne, metaforyczne ujęcia uniwersalnych sytuacji egzystencjalnych. Czytając głośno te opowiadania, poddawałam się ich czarowi w nie mniejszym stopniu niż Zuzia. Z żalem przyjęłam fakt, że zrezygnowała z nich około piątych urodzin.

Co ciekawe, *Pan Kuleczka* wyparty został przez cykl *Julek i Julka* – pełen kapitalnego humoru, ale pisany prościutkim językiem, dostępnym nawet dwulatkowi. Półtora roku później (tuż przed szkolnym debiutem) lekturą równoległą stała się *Kacperiada* Grzegorza Kasdepke, wraz z kontynuacją *Kacper z szuflady*. To dla odmiany narracja obfitująca w niezwykle długie, zakręcone składniowo zdania; od pośrednika lektury wymagają one sporych kompetencji językowych, by mógł poprzez właściwą intonację ułatwić dziecku ich zrozumienie. Spory

[4] Na cykl składają się książki: *Pan Kuleczka* (Poznań, 2002), *Pan Kuleczka. Skrzydła* (Poznań 2003), *Pan Kuleczka Spotkanie* (Poznań, 2004), *Pan Kuleczka. Światło* (Poznań 2006), *Pan Kuleczka. Dom* (Poznań, 2008), *Pan Kuleczka. Radość* (Poznań, 2012). Publikacja książkowa poprzedzona była drukiem znacznej części opowiadań w miesięczniku „Dziecko”.

kontrast, a jednak cykl *Julek i Julka* nie został uznany za zbyt dziecinny, jak wcześniej *Pan Kuleczka*. Podstawowym kryterium dla Zuzi okazały się realia świata, wewnętrzna motywacja świata przedstawionego – odrzuciła psa Pypcia i kaczkę Katastrofę na rzecz „prawdziwych" dzieci.

Bywa tak, że odrzucenie – lub przeciwnie, pełne emocji przyjęcie – danej lektury stanowi dla mnie pewną niespodziankę. *Coś ci powiem, Stokrotko* Miry Jaworczakowej to książka, której zadaniem jest towarzyszenie pierwszym krokom dziecka w szkole, oswajanie nowej rzeczywistości (podobnie jak w przypadku znacznie bardziej znanych utworów, takich jak *Jacek, Wacek i Pankracek* tejże autorki oraz *Plastusiowy pamiętnik* Marii Kownackiej). Dodatkowo wyeksponowane są tu problemy wynikające z osobowości tytułowej bohaterki: nieśmiałej, niepewnej siebie, lękliwej Stokrotki. Książkę tę kupiłam raczej dla siebie, ze względów zawodowych. Tymczasem Zuzankę, mającą dawno za sobą szkolny debiut (przyspieszony), a charakterem stanowiącą przeciwieństwo Stokrotki, lektura ta wręcz zafascynowała.

Emocje córki dla mnie z kolei stały się fascynacją i pewną tajemnicą. Dlaczego nasze niekiedy nadmiernie śmiałe dziecko tak przylgnęło do delikatnej Stokrotki? Czy i w jaki sposób rozumie radość lękliwej dziewczynki, wynikającą z tego, że pod nieobecność rodziców w domu *Baba Jaga nie przyleciała, czarodziej wcale nie przyszedł...* [...] *nic, zupełnie n i c się nie stało, gdy tu była sama* (Jaworczakowa M., 1962, s. 23)? Czy właśnie odmienność świata psychicznego bohaterki okazała się w tym przypadku magnesem, czy może lektura dotknęła ukrytych aspektów osobowości samej Zuzanki? Tego typu zdarzenia bywają lekcją pokory; rzeczywistość rewiduje uogólnione założenia, których bywamy niekiedy tak zwodniczo pewni.

Czy Zuza i Nela dużo czytają? Zależy, w jakim sensie. Jeśli chodzi o repertuar, to w mojej ocenie nie jest on szczególnie bogaty – co wynika ze wspominanej skłonności do powtórek. Kornelka jest nadal w wieku, w którym stanowi to prawidłowość rozwojową, ale także u Zuzi ta skłonność utrzymuje się nadal, choć naturalnie w wersji złagodzonej. Jeszcze dwa czy trzy lata temu czatowałam na rzadki – naprawdę rzadki – stan ducha, w którym dawała się przekonać do nowej lektury. Ale dosłownie na palcach jednej ręki policzyć mogę lektury jednorazowe

(pomijam szkolne – które nie wiążą się wszak z osobistym wyborem i pełną dobrowolnością czytania). Inne, jeśli już „chwyciły”, to na tyle, by wejść w zakres lektur permanentnych – co może oznaczać parę tygodni, ale i parę lat. Stanowi to dla mnie swoisty sprawdzian wartości tekstu. Skoro bowiem po setnej lekturze (niekoniecznie całej książki – niekiedy tego samego fragmentu, przy którym uparło się dziecko, ignorując kompletnie resztę) nie budzą się we mnie mordercze skłonności w stosunku do autora, świadczy to o jego niewątpliwym kunszcie literackim!

Jeśli niekiedy, podobnie jak cytowana już Maria Deskur, życzyłabym sobie oderwać się od powtarzalności, to ze względu na książki dotąd nietknięte. Tak wiele ich czeka na półkach... Czyżby miało być tak, że moje córeczki nie odwiedzą starego dworu w Górkach Wielkich, zamieszkałego przez ludzi, zwierzęta i baśniowe istoty: niespokojne igi-igi, wesołe piruski, rdzawe kluczyki, szkodne klawiki, swarliwego smolika, uprzejmego akwedona, chytre kanapony – nad którymi pieczę sprawuje tytułowy bohater *Kłopotów Kacperka góreckiego skrzata* Zofii Kossak?[5] Lub ogrodu *z płomiennoczerwonymi i ciemnobłękitnymi drzewami*, w którym *owoce błyszczały jak złoto, a kwiaty jak płonący ogień i ciągle poruszały łodygami i listkami. Grunt tworzył najdelikatniejszy piasek, niebieski jak płomień siarki. Nad wszystkim zaś unosił się cudowny, błękitny blask, wydawać się mogło raczej, że jesteśmy wysoko w powietrzu i że mamy pod sobą i nad sobą tylko niebo, a nie, że to dno morza*? (Andersen H. Ch., 1977, tom 1, s. 48). Że nie poruszy ich los drzew, na których *wypalano syczącą pieczęć rozpalonym żelazem*; czekając na swoją śmierć *Wparły się korzeniami w ziemię i patrzyły ponurymi oczodołami, w których mieszkały wiewiórki*, podczas gdy *Wiatr w ich górnych gałęziach odmawiał ciężkim szumem modlitwę za umarłych*? Zaś ostatnie z nich: *nie powinno tam było paść, a jednak padło* (Makuszyński K., 1958, s. 105-106), wyznaczając kres szczęśliwego dzieciństwa panny z mokrą głową?

[5] Ta baśń literacka wydana została po raz pierwszy w 1926 roku; warto wspomnieć, że w późniejszych dziesięcioleciach miała szczęście do ilustratorów: Antoniego Boratyńskiego i Adama Kiliana.

Oto dlaczego sporadyczne łakomstwo córek (odnośnie ilości różnorodnych pozycji) bardzo mnie cieszy; choć zdaję sobie sprawę, że bywa wtedy podobnie, jak z Pypciem, gdy przygotował sobie książki do czytania: *zdjął z półki i kilka położył na stosiku z jednej strony swojego legowiska, a kilka na stosiku z drugiej. I jeszcze kilka na trzecim. A resztę na szafce. No a potem tak jakoś wyszło, że stosiki się przewróciły, a książki z szafki spadły* (Widłak W., 2002, s. 17).

Samą siebie upominam, przywołując bliską mi łacińską maksymę *multum, non multa*. Wszak ilość nie zawsze przechodzi w jakość. W odniesieniu do dziecięcej lektury pisał o tym Jan Twardowski, w tonacji dyskretnie dydaktycznej:

> *Pewien chłopczyk stale czytał książki, całymi dniami.* [...] *Ale niczego nie pamiętał, bo tak dużo czytał, że mu się wszystko w głowie pomieszało: nie wiedział, jak się kto nazywa, czy bohater się ożenił, czy do Wisły wskoczył* [...]. *Pewna dziewczynka tylko jedną książkę czytała, ale sumiennie, dokładnie, zdanie po zdaniu, wszystko pamiętała, jak się kto nazywa. Nawet pamiętała, a jaki sposób ogrodnik sadził w zielonej skrzynce pachnący groszek* (1977, s. 48).

Dla mnie, osoby zawodowo czytającej, powroty do tych samych, ulubionych lektur to wymarzony luksus. Spokojnego rytmu, bezinteresownego „tracenia czasu" doświadczam najczęściej właśnie przy lekturze dziecięcej, w roli lektora. Próbowałam też odpowiedzieć sobie na pytanie o wartość tego stylu lektury dla starszej córki.

W filmie *Miłość przychodzi powoli* (*Love comes softly*, USA 2003, reż. Michael Landon Jr.), którego akcja rozgrywa się w środowisku XIX-wiecznych farmerów amerykańskich, bohaterka Marty ma sposób na zachęcenie swej pasierbicy do nauki czytania. *Nie musisz się uczyć czytania. Jeśli nie chcesz przeżywać przygód…* – te słowa wystarczają, by dziewczynkę zaintrygować. W monotonnej codzienności, naznaczonej ciężką fizyczną pracą, jednostajnością krajobrazu i spotykaniem tych samych ludzi, książki pozwalają zaznać smaku niezwykłości, odmiany.

Rzeczywistość otaczająca nas tu i teraz jest całkowicie odmienna. Cechuje ją pośpiech i nadmiar bodźców, co nierzadko skutkuje psy-

chicznym przeciążeniem. Jak stwierdza Andrea Braun, współczesne dzieci w naszym kręgu kulturowym *obarcza się zbyt wieloma podnietami i propozycjami jednocześnie. Muszą się one wciąż na nowo decydować, którymi rzeczami (z wielu interesujących) powinny zająć czy bawić się najpierw* (2001, s. 53-54). Może zatem czytane wielokrotnie książki oferują właśnie wyciszenie, spokój, pożądaną, bo przyjazną powtarzalność? Być może zdolne są wskrzesić *kulturę uwagi, skupienia i zachwytu*? (Clément O., 2008, s. 167).

Aby zakończyć optymistycznym akcentem: obecnie w naszym domu ożywa Narnia, kraina Mówiących Zwierząt wykreowana przez C. S. Lewisa. Rycerskie przygody, dziwy i tajemnice stanowią dla Zuzanki dość skuteczną zachętę do tego, by lektura posuwała się do przodu. Choć zarazem nadal pulsuje rytm powrotów lekturowych; paradoksalnie, dotyczy on kryminałów (przeznaczonej dla dziecięcego odbiorcy serii *Biuro detektywistyczne Lassego i Mai* Martina Widmarka) – czyli lektur z zasady „jednorazowych”. Powtórna lektura (fragmentaryczna zresztą) oczywiście nie uruchamia już ciekawości, jakie będzie rozwiązanie zagadki – jest raczej odwiedzinami u dobrych znajomych z sympatycznego szwedzkiego miasteczka Valleby.

Zaś jako imieninowy prezent dla Kornelki pojawił się jakiś czas temu nowy tomik serii Wojciecha Widłaka: *Pan Kuleczka. Radość*. Naprawdę niosący radość. Okazuje się, że książka może być świetnym prezentem – n a w e t u nas.

BIBLIOGRAFIA

Andersen H. Ch. (1977), *Baśnie*, przeł. S. Beylin, J. Iwaszkiewicz, Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy

Bars H. (1967), *Siódma zasłona literatury*, przeł. Z. Bieńkowski, B. Hłasko, A. Iwaszkiewiczowa, Warszawa, Instytut Wydawniczy PAX

Braun A. (2001), *Mniej... to często znaczy więcej. Czyli jak radzić sobie z dziecięcą konsumpcją i zapobiegać uzależnieniom*, przeł. A. Trąbska, Kielce, Wydawnictwo „Jedność", ISBN 83-7224-340-9

Clément O. (2008), *Pamiętniki nadziei, Rozmowa z Jeanem-Claudem Noyer*, przeł. M. Żurowska, Poznań, „W drodze", ISBN 978-83-7033-634-0

Deskur M. (2004), *Czytając moim córeczkom*, [w]: Tubylewicz K. (red.) *Jestem mamą – zbiór prawdziwych historii o macierzyństwie*, Kraków, „Znak", ISBN 83-240-0457-2, s. 169-171

Goscinny R., Sempé J. J. (2004), *Mikołajek ma kłopoty*, przeł. B. Grzegorzewska, Warszawa, „Nasza Księgarnia", ISBN 83-10-10946-6

Groch E. J. (2006), *Łazik i Klara*, przeł. E. i J. Zamojscy, Zakrzewo, Wydawnictwo „Replika", ISBN 83-60383-02-2

Jaworczakowa M. (1962) , *Coś ci powiem, Stokrotko...*, Warszawa, „Nasza Księgarnia".

Kasdepke G. (2009), *Kacper z szuflady*, Łódź, Wydawnictwo Literatura, ISBN 978-83-61224-92-1

Makuszyński K. (1958), *Panna z mokrą głową*, Warszawa, „Nasza Księgarnia"

Musierowicz M. (1998), *Imieniny*, Łódź, „Akapit Press", ISBN 83-87463-15-9

Osikowicz M. (2009), *Czytanki dla Aleksandra*, Kraków, WAM, ISBN 978-83-7505-452-1

Papuzińska J. (2001), *Drukowaną ścieżką*, Łódź, Wydawnictwo Literatura, ISBN 83-88484-40-0

Papuzińska J. (1988), *Inicjacje literackie. Problemy pierwszych kontaktów dziecka z książką*, Warszawa, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, ISBN 83-02-00532-0

Papuzińska J. (2011), *Nasza mama czarodziejka*, Łódź, Wydawnictwo Literatura, ISBN 978-83-7672-065-4

Szymborska W. (2000), *Poczta literacka czyli jak zostać (lub nie zostać) pisarzem*, Kraków, Wydawnictwo Literackie, ISBN 83-08-03077-7

Szymborska W. (2005), *Wiersze wybrane*, Kraków, Wydawnictwo a5, ISBN 83-85568-68-9

Twardowski J. (1977), *Zeszyt w kratkę. Rozmowy z dziećmi i nie tylko z dziećmi*, Kraków, „Znak”.

Widłak W. (2002), *Pan Kuleczka*, Poznań, „Media Rodzina”, ISBN 83-7278-062-5